

JACEK CIEŚLAK

Mieliśmy Rok Norwida, ogłoszony przez Sejm RP, ale wedle pana uwag na temat działalności polskich instytucji w Nowym Jorku, gdzie poeta przebywał (w Stanach Zjednoczonych był w latach 1853–1854) – pozostał on bezimiennym bohaterem zbiorowej mogiły i nic w jego sprawie nie zrobiono.

Tym bardziej warto podkreślić, że pierwszym, który zajął się Norwidem w Nowym Jorku, był Aleksander Janta-Polczyński, poeta, prozaik, a także współpracownik Jerzego Giedroycia i paryskiej „Kultury”. W esej Janty „Na tropach Norwida w Ameryce” czytywałem się uważnie. Pomogła mi dobra znajomość Manhattanu, Brooklynu i Staten Island, a nowojorskie biblioteki miejskie, Columbia University Library oraz Library of Congress w Waszyngtonie, wsparły mnie hojnie, udostępniając swe zbiory. Janta napisał, że w 1971 r. 150. rocznica urodzin Norwida przeszła w amerykańskim środowisku bez echa. Mógłbym dodać: „Tak trzymać”, gdyż dwusetna jego rocznica urodzin została w Nowym Jorku skazana na niepamięć. Tak być nie musi i nie może; wystarczy tę sprawę „oderwać” od rocznic i przypomnieć, iż w roku 2007 ukazało się trzytomowe dzieło „Kalendarz życia i twórczości Cypriana Norwida” Zofii Trojanowiczowej i Zofii Dambek. Owym „Norwidiankom” należała się nowojorska konferencja jak chłopu ziemia, ale nie doczekały tego. Trzeba dążyć do spełnienia marzenia prof. Trojanowiczowej.

Chciał pan zdokumentować norwidowskie miejsca również audiowizualnie, kamerą. Powstał esej, rodzaj scenariusza. Na film zabrakło pieniędzy?

Udało mi się znaleźć własny klucz do osobowości Norwida, patrząc nań z perspektywy perypatetycko-egzystencjalnej. Kto tak podróżuje, trwoniąc czas, pieniądze, zaprzeczając naukę i tracąc dobrą opinię u tych, którzy mu pomagali? Z tego całego zgiełku wyłonił się nowojorski materiał wydrukowany w 9. numerze „Twórczości” z 2021 r. Wtedy spojrziałem nań jak na scenopis, któremu trzeba nadać piętno topograficzne. Przyłożyłem się do dokumentowania nowojorskich miejsc Norwida z lustrzanką Pentax i statywem Manfrotto. Schodziłem wszystkie jego miejsca nowojorskie wiele razy – rzeczywiście i domniemane. Norwid kontaktował się w Nowym Jorku z Amerykanami, Niemcami, Włochami, Irlandczykami, z francuskim księdzem-wesołkiem-dietetykiem zalecającym konsumpcję mięsa nawet w piątki i częste uśmiechanie się. Keep smiling! Jest kościół, w którym Norwid na East Village bywał, z pewnością w Saint Brigid’s Roman Catholic Church zwanym też Famine Church przy 119 Avenue B, nadto piękny wnętrzem w obszarze Financial District – Saint Peter Church przy 22 Barclay Street. Trzeba o tych przybytkach wiary wspomnieć, jako że Cyprian uchodził za „surowego chrześcijanina”.

Co do kamery wideo – dysponuję starawą JVC. Największą jakością mego materiału wideo jest to, że jest. Co do zdjęć – jestem gotów bronić ich za dobrą jakość, natomiast materiał filmowy należałoby powtórzyć. Ja chyba tego nie dokonam i nie stać mnie na zakup sprzętu. Polscy operatorzy to światowa elita, więc proszę – oto dla was zadanie! Ja poprowadzę was w terenie.

Jak się czyta, że Norwid dopłynął do Nowego Jorku na pokładzie statku, z którego do oceanu wyrzucono ciało bliskiej mu Irlandki – przypomina się niemal „Titanic”, biorąc pod uwagę, że szkicował i malował.

Być może to się zdarzyło na owym żaglowcu, który mógł pójść na dno ze wszystkimi, lecz kapitan Joshua Pratt wykazał się wspaniałymi umiejętnościami – tak głosi legenda. Inne źródła twierdzą, że Norwid mógł słyszeć o takim zdarzeniu mającym miejsce na innym statku. Jego za kobieciarza jak Stendhala brać się nie powinno, lecz faktem jest, iż bardziej go ciągnęło do kobiecego niż do męskiego grona.

A co do wspomnianego przez pana „Titanica” – jak to się dziwnie plecie. Na rogu Broadwayu i Fulton Street (dolny Manhattan) stoi latarnia morska wysoka na... 6 metrów, de facto będąca pomnikiem ku czci ofiar „Titanica”. Informuje o tym tablica pamiątkowa. To jest już teren Seaportu, dzielnicy przy East River, miejsca, gdzie cumował pokiereszowany szkwalami żaglowiec Margaret Evans kapitana Pratta i gdzie Norwid postawił swoją nogę na amerykańskiej ziemi reprezentowanej



RYSZARD KORYCKI

FILM O NORWIDZIE W KRAINIE INDIAN

ROZMOWA Z TADEUSZEM ZIELICHOWSKIM, ESEISTĄ

Czesław Miłosz powiedział, że Norwid to dobry temat na film. Co poniektórzy strażnicy jego mitu nie są podjęciem tej roboty zainteresowani, bo Norwid w dalszym ciągu potrzebny jest jako mit.

Manhattanem. Nowy Jork wtedy był mniejszy od Londynu pięć razy! I to jest też to samo miejsce, z którego w szesnaście miesięcy później cokolwiek zdemolowany, ale żywy wraz z księciem Maurycym Lubomirskim i jego francuską kochanicą odpłynię do Liverpoolu. Ta część Manhattanu jest relatywnie „stara”, więc nasi nieustraszeni operatorzy kamer będą mieli idealną okazję pokazać, jak „kinematograficzny” on jest. A potem odpocząć w zaiste stylowej i niedrogiej Fraunces Tavern na 54 Pearl Street. To jedno z tych miejsc, które „przypisuje” Norwidowi, nie mając ewidencji w źródłach.

Skąd wziął się Norwid w Ameryce i czego szukał?

Mógłby upierać się przy dalszym wegetowaniu w Paryżu, ale tam miano go dość. Do Warszawy nie mógł już wrócić ze wstydu i z powodów formalnych; miałby kłopot z carską władzą, a nadto i tam też nie byłoby mu mu za co jeść, pić, odziewać się i gdzie mieszkać. Na warszawskich salonach by już go widzieć nie chcieli, nadto jego miłość Kamila Lemańska wyszła za mąż, Maria Kalergis nigdy nie traktowała go poważnie.

Ta pianistka i mecenaska wolala gościć w swoich salonach Liszta, Wagnera, de Musseta, Moniuszkę, Gautiera, Heinego, który poświęcił jej poemat „Biały słon”, czy Chopina.

Myślę, że Norwida wypchnięto z Warszawy, oferując pomoc z załatwieniem niezbędnych formalności, w czym pomagał rząd francuski. Pewnie szukał lepszego bytu, ale do tego nie chciał się jako dumny potomek rodu Sobieskich przyznawać. Był w moim przekonaniu blisko sięgnięcia po elementarną stabilizację, jednak charakterologiczne wynaturzenia stały na przeszkodzie.

Kiedyś, gdy pisano o nim, że był bezdomny, mieliśmy czasy, gdy to niemalże oznaczało utratę czci, jednak dziś, gdy uświęca się nomadów, tułaczy, wyzwalających się z kapitalistycznego społeczeństwa, a nawet za to daje Oscary – Norwid jest wielkim tematem. Dlaczego nikt z tego w kinie nie skorzysta?

Kino jest drogim nośnikiem do przekazywania takich treści, zwłaszcza „niemelodycznych”. Łatwo zmarnować pieniądze i wpędzić w kłopoty twórców. Agnieszka Holland zrobiła niezły film „Totalne zaćmienie” o dwóch takich, którzy mieli gdzieś mieszczańskie wygody – to Arthur Rimbaud i Paul Verlaine. Trzeba też wiedzieć, że nasza polska mentalność jest w dalszym ciągu restryktywna, coś ją dławi, jakiś osobliwy rodzaj „konspiracy” – nie wolno mówić, że Norwid był alkoholikiem, że po powrocie do Paryża wyglądał coraz paskudniej. W tym względzie film zrobiony ongiś przez Ignacego Gogolewskiego „Dom Świętego Kazimierza” z nim samym w roli głównej jest teraz archaiczną laurką dla poety niezrozumiałego, a „prawdy” w nim nie za wiele. A co do poetów amerykańskich... długo nie było filmu o Edgare Poem, który „lubiał wypić” i aby przeżyć, zgłosił się do wojskowej akademii w West Point, bo tam... dawali jeść i czyste łóżko pod dachem. Nie ma też filmu o jakże nowojorskim Walcie Whitmanie, który mógłby widzieć Norwida i księcia Lubomirskiego choćby przy terminalu Fulton Ferry od strony Brooklynu. Czesław Miłosz powiedział zaś, że Norwid to dobry temat na film. Owszem, owszem... zacznijmy więc skromnie – od nowojorskiego epizodu.

Janusz Głowacki umieścił na Tompkins Square Park historię o bezdomnych „Antygona w Nowym Jorku”. Norwid był tu pierwszy?

Jako bezdomny – nie. East Village/Kleine Deutschland wtedy było miejscem rzemieślników, głównie niemieckich. Sanatoryjnie tam nie było – waniało, śmierdziało od przetwarzania naturalnych surowców, także od kup końskich, pewnie i od ludzkich odchodów. Niemniej ilustracje z połowy XIX wieku pokazują, że Tompkins Square Park w weekendy, gdy pracowity lud się bawił, było dobrze po niemiecku przysposobioną przestrzenią dla homo ludens, a homo faber budził się wraz z poniedziałkowym świtem. Niedaleko przy Saint Mark's Place jakiś czas mieszkał Jerzy Bonawentura Krzyżanowski, kuzyn Chopina, a wcześniej James Fenimore Cooper. Cały ten areal Manhattanu – East Village, drastycznie obniżył swą rangę po porzuceniu go przez Niemców na początku XX wieku i radykalnej zmianie składu etnicznego na portorykański, polski, ukraiński...

Wtedy mieszkania zaczęły być tanie, ale też po głębie można było zarobić. Poeci, performerzy, muzycy, wydawcy druków ulotnych etc. poczęli się tu mościć po I wojnie światowej. Norwid mógłby być... forpocztą. Jego nowojorskie miejsce w postaci tablicy pamiątkowej lub popiersia jest właśnie tam, a nie gdzie indziej. Przy okazji można by dodać Elżbietę Czyżewską, samotną i pijaną w kawalerce na East 8th Street. Ja w tej sprawie próbowałem coś wskórać – zostałem zablokowany, zmarginalizowany, poddany towarzyskiemu ostracyzmowi.

Na East Village/Małych Niemcach Norwid wyprzedził też m.in. bitników.

Wyprzedził... hm... oni niewątpliwie orientowali się na Europę... w Paryżu mieszkali w zimnym hoteliku. Allen Ginsberg był w Polsce. Gdy około roku 1997 spotkałem go na 2nd Avenue przy East 12nd Street, szedł do restauracji Little Poland najeść się pierogów. Nie ma w niej, niestety, jego podobizny; mógłby być też wiersz, który napisał w warszawskiej kawiarni; akurat Czarnobyl się rozpadł i siał radioaktywność.

Szczęśliwe było spotkanie Norwida z dawnym warszawskim kolegą Carl Emil Doeplerem, który projektował album wystawy światowej w Crystal Palace, a potem wrócił do Europy i zrobił scenografię „Pierścienia Nibelungów” Wagnera. Doepler dał Norwidowi pracę. Co Norwid robił?

Co Cyprian robił? Ano robił i aż trzy miesiące z rzędu od poniedziałku do soboty za 5–6 dolarów za dzień. Dla porównania dodam, że w tym czasie robotnik zarabiał dolara za dzień, mając nadto na utrzymaniu rodzinę. Wartość jego zarobku „na dzisiaj” trzeba przemnożyć bodaj przez 30. Wtedy wykonywał pracę w zgodzie z jego umiejętnościami – był ilustratorem dla katalogu Wystawy Światowej; Crystal Palace postawiony został na terenie dzisiejszego Bryant Parku na zapleczu gmachu głównego New York Public Library, Mid Manhattan. Norwid mógł tam być choć raz. Pracownia Emila Doeplera mieściła się na East Village, mieszkał niedaleko od niego. Czy do czasu, gdy spotkał go w marnym stanie wiosną 1854 książę Maurycy Lubomirski? – trudno orzec. Norwidowi nie w smak był kanon ilustracyjny obowiązujący w tym zamówieniu, widział się bardziej jako kontynuator włoskich estetyk renesansowych i Albrechta Dürera. Poza tym ciągłym i w jednym miejscu okresem pracy łapał się fuch – malowania kapitańskiej kabiny żaglowca kursującego między Nowym Jorkiem i Hawaną, rzeźbienia krzyża (tu go oszukano z wypłatą). Czyta się też, iż rzekomo był tłumaczem dla Włochów, że pracował jakiś czas w księgarni, że ilustrował nienawistne mu romanse, bo tak nazywał powieści... Nie udało mi się zweryfikować tych informacji, choć brzmią wiarygodnie. Informacje o życiu Norwida to istny „ogród nieplewiony”, jarmark różności wszelakiej. Tomasz Jastrun ma rację, mówiąc, że sporządzenie o nim biografii to rzecz piekielnie trudna, także i z tego powodu – moim zdaniem – iż co poniektórzy strażnicy jego mitu nie są podjęciem tej roboty zainteresowani. Norwid w dalszym ciągu potrzebny jest jako mit.

Jakie były okoliczności wyprawy w świat Indian, skądinąd z Manhattanu, czyli miejsca Indian?

Gdyby uznać, że Norwid, będąc w Europie, czytał Rene de Chateaubrianda i Alexisa de Tocqueville'a – być może chciałby zweryfikować swoje poglądy. Tymczasem jego wiersz o Indianach nie wystawia mu dobrej opinii jako intelektualistę; na Indian spoglądał jak na

nierobów, jak na duże dzieci, które upačkane farbą strzelają z łuków w niebo. Tocqueville w swym traktacie „O demokracji w Ameryce” poświęca nieszczęsnej sprawie Indian sporo uwagi i znakomicie wyjaśnia źródła ich nędzy i powodów zagłady. Podobnie zresztą na tę sprawę spojrział Julian Ursyn Niemcewicz.

Sam zaś dokonany przez Norwida wybór jest zagadkowy. Gdyby chciał powrócić do rujnującej go już w Europie manieri podróżowania, mógłby odwiedzić amerykańskie miasta Wschodniego Wybrzeża należące już wtedy do elity – Boston, Filadelfię, Baltimore i ewentualnie Waszyngton. Przy okazji miałby możność kontemplowania wspaniałych wybrzeży i plaż Atlantyku. A tu Indianie... mnie się wydaje, że mógł się nimi zainteresować od Niemców, ci bowiem do rdzennych mieszkańców Ameryki czuli coś w rodzaju mięty przez rumianek. Karl Schurz, generał i pierwszy amerykański senator niemieckiego pochodzenia, poświęcił sporo energii, aby ich ratować.

A pytanie – jak i którędy Norwid podróżował? Mógł odwiedzić Indian zamieszkanych w okolicach Fingers Lakes w stanie Nowy Jork, należących do Konfederacji Pięciu Plemion; był u nich jeden z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych Benjamin Franklin, ciekaw ichniejszej demokracji, jako że prowadzili bardziej niż inne plemiona osiadły tryb życia w Long Houses. Moja zaś hipoteza jest taka, że Norwid w górę ku granicy kanadyjskiej poruszał się szlakiem wcześniej odbytym przez wspomnianego już Niemcewicza. Nadto wysoce prawdopodobne jest, że dotarł do Chicago, także do Detroit. Gdy zaś Cyprian wrócił do Paryża, ktoś powiedział, że „opowiadał cuda o Ameryce”. Reasumując – Norwid wraca z indiańskiej wyprawy „goły i wesół”.

Jakie pamiątki po nowojorskim pobycie zaginęły, a co się odnalazło?

Gdy Norwid zapragnął mieć w Paryżu pracownię podobną do tej Doeplera na Manhattanie, o pieniądze zwrócił się do Adama Zamoyskiego; otrzymał milczącą odmowę. W liście doń wszak pisze, że odbył podróżę „podparte ołówkiem”. Ten notatnik musiał zaginać bodaj w paryskim Domu Świętego Kazimierza. W Nowym Jorku zaś w osobliwy sposób „zaginął” mu egzemplarz „Ludzkiej komedii” Dantego, który nie wiedzieć czemu ofiarował gitarzyście o nazwisku Numa Łepkowski. Prawdopodobnie liczył na jego domysłność, że jest bez pieniędzy i spodziewa się wsparcia. Ten egzemplarz się odnalazł w jakiejś uniwersyteckiej bibliotece Ameryki. Co do innych „pamiątek” – listy z pewnością, rękopisy wierszy... Szarytki ponoć nie mało puściły z dymem. Jest też tu i ówdzie mowa o modlitewniku.

Na wieść o wybuchu wojny krymskiej przeciwko Rosji poeta planował udział w niej, ale powrót stątkiem wymagał pieniędzy. Pisał w sprawie pieniędzy do Mickiewicza i Hercena. Jak sobie ostatecznie poradził?

Próbując się ratować przed nędzą, Norwid zaczął dobierać się do tutejszego polskiego towarzystwa mającego siedzibę na Broome Street, w dzielnicy SoHo,



Cyprian Kamil Norwid (1821-1883), poeta, prozaik, dramaturg, grafik. Uznawany za ostatniego z czterech najważniejszych polskich poetów romantycznych

gdzie zbierały się „indywidua”, bo tak ich nazwał, w liczbie stu. To byli ludzie na poziomie, nie tylko z racji swego szlacheckiego pochodzenia, ale wykształceni na tyle, iż mogli się zajmować godziwym zarobkowaniem. Myślę, że byli już na tyle zamerykanizowani, iż cenili sobie tę przypadłość. A tu pojawia się jakiś literat, autor ciężko napisanych manifestów, który poczyną pouczać o konieczności „zblżenia się” do Europy. Wyprawę przeciw Rosji na Krym trzeba szykować, on zaś w niej, co by oznaczało, że owe „indywidua” pokryją koszty transportu Norwida.

Szukanie zaś wsparcia u Adama Mickiewicza i Aleksandra Hercena było nonsensem i świadectwem braku oparcia Norwida w paryskim środowisku Polaków, do których się przeniósł po ucieczce z Rzymu, gdy zorientował się pod koniec roku 1849, że opustoszał z krajowej arystokracji i ziemiaństwa, u którego mógł liczyć na datki. Mickiewicz nie cierpiał go, nazywając palantem, sam miał na głowie chorą psychicznie żonę i dzieci, a tu otrzymał pokrętną epistolę zza wielkiej wody. Ta zaś skierowana do Hercena to bardziej obraz stanu Norwida psychiki niż rzeczowo wyłożona prośba.

No, ale z cudami jest tak jak z katastrofami, one się nie zapowiadają. Tym cudem było spotkanie na Manhattanie z księciem Maurycem Lubomirskim, który sam wcześniej też doznał cudu, otrzymując wiadomość, że czeka nań spadek do osobistego podjęcia. Książę oznajmia Cyprianowi, że funduje mu przejazd do Liverpoolu drugą klasą pasażerskim statkiem w dziesięć dni, sam zaś lokuje się z francuską kochanicą w klasie pierwszej. No i popłynęli... nie wrócili...

A może jednak Norwid był synonimem Polaka romantyka-nieudacznika? Sugeruje pan, że zarobione pieniądze przegrał, tak jak przepuścił je jego brat.

Polacy chyba nie mają monopolu na nieudaczników na obcych ziemiach. Wielu z nich zdobyło się na kariery i stabilny byt w służbie „obcych”, choćby we Francji, w Rosji, w Ameryce Południowej. Beznadziejnym nieudacznikiem był na przykład Andre Breton, który w Nowym Jorku rzeczywiście nie wiedział, co robi i po co tu przyjechał. Amerykańskie zdjęcia generała Wieniawy-Długoszowskiego pokazują go bez reszty utopionego w ciężkiej depresji. Alina Witkowska w książce „Cześć i skandale” opisuje paryską „emigrę” jako zbiorowisko karciarzy, samobójców, pojedykowiczków, alkoholików, aferzystów... No bo ile można trwać w honorze?

Z Norwidem wszak był inny problem – nie mając własnych ani rodzinnych pieniędzy, nie miał też stosownego wykształcenia, które by można użyć jako maszynę do zarabiania. On nie miał na dobrą sprawę żadnej profesjonalnej edukacji, a na dodatek był przysłowiowym „wielepiejem”, irytującym moralizatorem, a także partaczem. Nadto warszawska szkoła salonu bardzo mu zaszkodziła.

Nie trzeba być romantykiem, aby być nieudacznikiem, wystarczy być zapatrzonym w siebie narcyzem. A czy Norwid przegrał zarobione pieniądze? Cześć musiał wydać na pokrycie kosztów podróży do Chicago i z powrotem, to oczywiste. Jest powiedzenie „bieda musi poluzować”, więc mający swoją tożsamość Norwid pewnie zapragnął się lepiej stołować, lepiej mieszkać, lepiej się ubrać. Bo pieniędzy, które zarobił u Doeplera, aż tak wiele nie było. Gdyby pracował u niego chociaż rok – mógłby zaoszczędzić i dopiero wtedy zdecydować co dalej. Próbuje sobie wyobrazić go jako tego, który siada do jakiejś gry kuszony mirażem szybkiej wygranej. I wtedy zostaje oszukany, a że jest „maleńki”, gdy chodzi o wzrost – co mógł zrobić? Norwid raczej był nieodpowiedzialnym graczem z własnym życiem.

Co pan teraz planuje?

Mój nowojorski Norwid nie wyczerpuje w słownym dyskursie, część druga, na której mi zależy, to „przekład” na język obrazów, czyli wideoklipów i zdjęć. Wydrukowałem już ich około stu w formacie 13x19 cala (329x483 mm) i obrazują odpowiednio wybrane miejsca Manhattanu, Brooklynu i Staten Island, które istnieją dziś, mają však „ewokować” połowę XIX wieku. Ten materiał wymaga oprawy oraz wsparcia ze strony oryginalnej ikonografii Nowego Jorku tamtych dekad. Z tym żaden kłopot, gdyż stosowne nowojorskie instytucje mają go w wielkich ilościach. Może ambasada USA pospieszy z dolarowym wsparciem, a może sponsorzy tutejsi? To kwestia dobrze zredagowanych listów, oby nie w norwidowskim stylu. /©©